

Miłość czeka na każdego

Wydawałoby się, że to historia stara jak świat...

On – niepoprawny romantyk – zupełnie niespodziewanie dziedziży po dziadku uroczą leśniczówkę i piątkę kotów. Ona po bolesnych doświadczeniach ucieka przed przeszłością na wieś. Oboje znają się od dziecka... ale Anna nie jest już piegowatą smarkulą, Anią Shirley z zaplecionymi warkoczami i głową w chmurach. Również Michał, choć – jak ona – tęskni za prawdziwą miłością, pierwsze uczuciowe stłuczki ma już za sobą. Spotkanie po latach stopniowo sprawia, że obojgu szybciej biją serca...

...ale życie nie jest wcale takie proste. Najpierw każde z nich będzie musiało policzyć się z przeszłością i poukładać na nowo teraźniejszość – zwłaszcza Michał, w życiu którego jest jeszcze ta druga – Maja.

Czy Anna i Michał podejmą ryzyko i odnajdą wspólną drogę?

Cena 34,90 zł

ISBN MBP Cieszanów
Przytul mnie /



9 780000 000002 4972

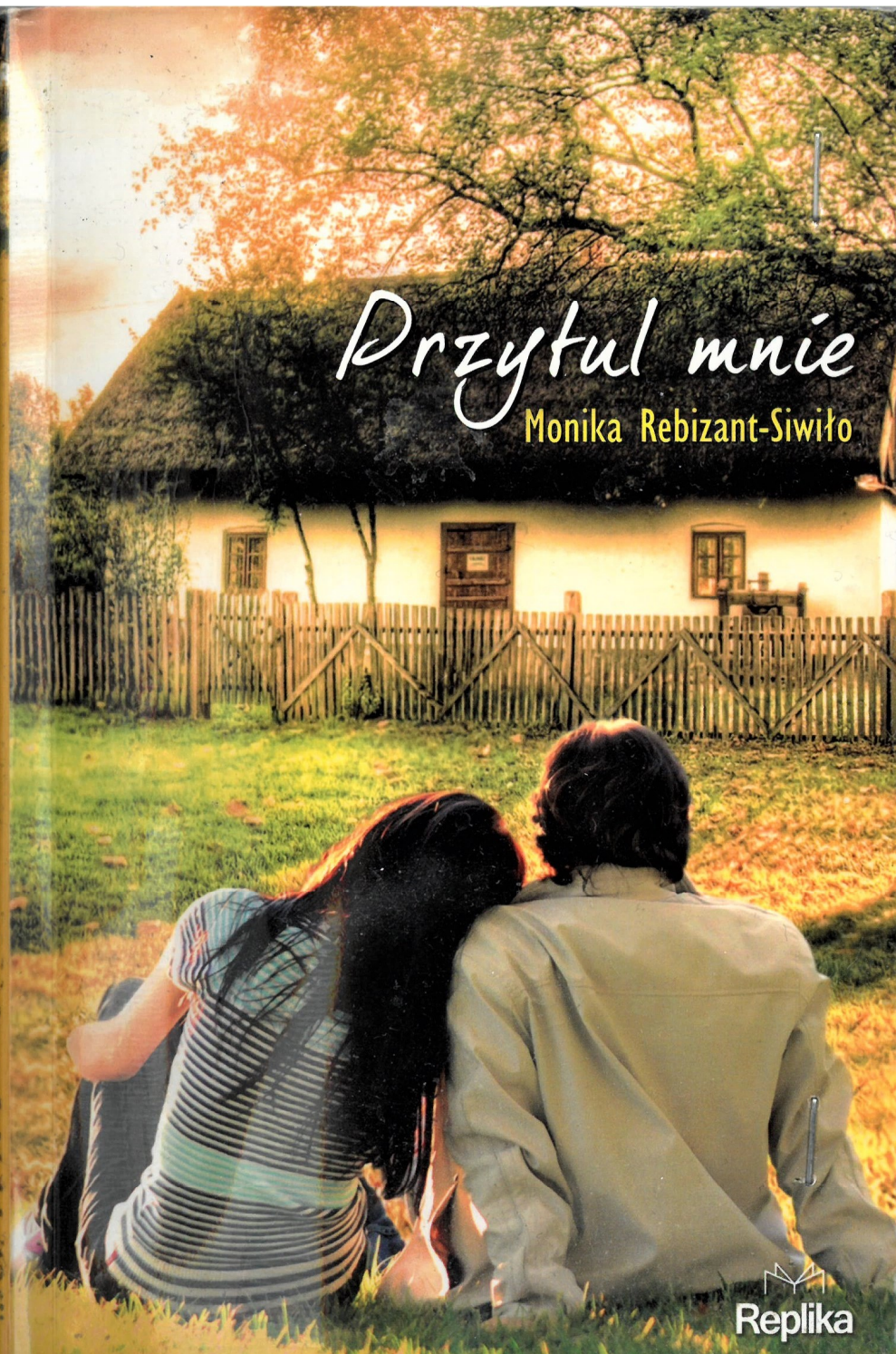
Monika Rebizant-Siwiło

Przytul mnie

REB

Przytul mnie

Monika Rebizant-Siwiło



Replika

się nie na swoim miejscu, do przyjemnych nie należał. Lubiłam przebywanie sam na sam ze swoimi myślami w czasach, gdy marzyłam i jedynym moim problemem było planowanie przyszłości. Teraz, gdy myśli zaprzętały gorzki jak piołun smak porażki, bardzo potrzebowałam przyjaciela.

– O trzynastej.

– Będę. – Objął mnie ramieniem. W drugiej ręce trzymał parasol. Deszcz siąpił uparcie i robiło się chłodno.

– Czekam – obiecałam, siadając za kierownicą. – I niech tylko dyrektor spróbuje zatrzymać mnie w pracy dłużej – dodałam w myślach. – Nie tym razem...

Rozdział 20

Nie każdy z nas ma dobre wspomnienia z dzieciństwa. Ja należę do tych szczęśliwców, którzy, gdy tylko zamkną oczy, przenoszą się na skrzydłach wyobraźni w stare, dobre czasy. Od najmłodszych lat bawiłam się sama. Wystarczył kawałek ogrodu lub choćby stół szczelnie osłonięty narzutą, pod którym zmieniałam się w stateczną gospodynię domową. Gotowałam z zapalem moim lalkom-dzieciom piaskowe zupy, układałam do snu i starannie budowałam swój dziecięcy świat. Gdy byłam za duża na chowanie się pod stołem, szukałam w okolicy najdzikszych zakątków, w których przepadałam na wiele godzin. Tam też miałam swoje skarby: muszle, kamyki, kolorowe szkiełka butelek. Potem przyszła miłość do książek. Pakowałam je do plecaka, razem z wiecznym piórem i oprawionym w twardą okładkę zeszytem. Wypełniałam go złotymi myślami, cytatami albo całymi wierszami, których potem uczyłam się na pamięć. Wracałam do domu z głową w chmurach, szczęśliwa i pewna, że w życiu przydarzy mi się

wszystko, co najlepsze. Tęskniłam za moimi tajnymi miejscami przez całą zimę, z niecierpliwością oczekując pozostałych pór roku, w których rządziło słońce.

Na jesienny spacer po latach pójdę w towarzystwie Michała. Gdyby lata temu ktoś powiedział, że zdradzę moją tajną samotnię koledze mojego brata, dostałabym ataku histerycznego śmiechu. A teraz proszę, z własnej woli oddaję mu ładny kawałek osobistych wspomnień i na dodatek jakoś dziwnie na to spotkanie czekam.

– O czym tak rozmyślasz? – Mama od jakiegoś czasu, niby od niechcenia, uważnie mi się przyglądała. Siedziałam jak zwykle rano przy kuchennym stole, popijając kawę. Z radia płynął szmer rozmowy na tematy zbyt poważne, bym skupiła na nich uwagę. Głowę zaprzętały mi zupełnie inne myśli.

– O Michale – przyznałam. Wiedziałam, że się ucieszy. Po ostatniej burzliwej rozmowie o dawaniu wiary w paplalinę Halinki Brożyńcowej mama unikała rozmowy na ten temat. Z ulgą podjęła wątek Michała.

– A co? – Usiadła na krawędzi krzesła, pilnując, by mleko nie wykapało. – Znowu macie randkę?

– Zaprosił mnie na spacer. Idziemy do lasu.

– Jakby nie było innych miejsc na ziemi, tylko Puszcza Solska! – nieoczekiwanie skrytykowała ten pomysł. – Na jakieś tańce powinien cię zabrać, albo do kina czy teatru.

– Głodny zawsze o chlebie – zaśmiałam się.

– Gdybym miała twoje lata, korzystałabym z życia pełnymi garściami, a ty nic, tylko siedzisz w domu, chodzisz po lesie albo gapisz się w telewizor razem z ojcem. Nie męczysz cię to?

– Wcale. Swoje wytańczyłam i wychodziłam. Nic na to nie poradzę, że jestem taka, a nie inna.

– Mówisz jak emerytka – skrzywiła się. – Problem w tym, że wcale taka nie jesteś. – Nie dawała za wygraną, najwyraźniej

się rozkręcając. – Taka osowiała wróciłaś z Wrocławia po rozwodzie i zamiast zerwać z przeszłością, z upodobaniem ją rozpamiętujesz.

– Nie masz racji, mam – wstałam od stołu. – W ogóle mnie nie znasz.

– To może daj mi szansę i powiedz, co cię tak naprawdę gryzie? – Stała na mojej drodze, gdy chciałam ją ominąć i wyjść z kuchni. – Nie jestem głupia. Widzę, że mnie okłamujesz, nie mówisz wszystkiego, a ja czuję...

– Mam, nie mam czasu – przerwałam jej oschle. – Zaraz spóźnię się do pracy.

– Nigdy się nie spóźniasz, więc ten jeden raz nic się nie stanie. Przyznaj lepiej, że nie ufasz własnej matce – patrzyła na mnie z wyrzutem. – Kiedyś byliśmy sobie bliskie, a teraz nawet nie mam się komu pożalić – westchnęła – czy choćby porozmawiać, jak kobieta z kobietą.

– Nie przesadzaj. Masz przyjaciółkę, panią Jadwigę. Poza tym jest jeszcze pani Brożyńcowa, ostatnia wyrocznia w pewnych sprawach – zadałam cios poniżej pasa. Mama posmutniała, a mnie zrobiło się przykró. – Nie mogę ci o niczym powiedzieć! – zawylałam w myślach. Podpisałam cyrograf, na którym pieczęć przystawił adwokat samego diabła. Mama odsunęła się ze łzami w oczach. Mogłam wyjść, ale cisza między nami narastała z każdą chwilą. Bez słowa podeszłam i wtuliłam się w jej pulchne ramiona, jak kiedyś, gdy byłam małą.

– Wytrzymaj ze mną jeszcze trochę – poprosiłam. – Obiecuję, że gdy będę gotowa, pierwsza dowiesz się o wszystkim. – Mama nie odezwała się, ale poczułam po chwili, jak delikatnie gładzi mnie po głowie. Odetchnęłam z ulgą. Zrozumiała.

– To kiedy wybieracie się na ten spacer? – zapytała po chwili zupełnie zwyczajnym tonem.

– Dzisiaj po południu.

– Przygotuję kanapki. Leśne powietrze bardzo zaostreza apetyt. – Nie mogłam się z tą odwieczną prawdą nie zgodzić.

Pogoda poprawiła się odrobinę i przesiąknięta deszczami ziemia oddawała w przestrzeń mglisty oddech babiego lata. Liście, niczym zwiewne baletnice, opadały pod stopy, kołysane podmuchami jesiennego wiatru. Październik na wsi jest prastarym miesiącem mgieł i opadających liści. W mieście pory roku przemijają prawie niezauważone. Byłam wiejska do szpiku kości. Miasto, w którym nauczyłam się żyć, choć piękne i pełne uroku, nie dawało mi tego, co otaczało mnie od najmłodszych lat: przestrzeni i niczym nieskrępowanej wolności.

Z ulgą wsiadłam do samochodu. Nie byłam pewna, czy uda mi się zmylić trop. Musiałam znaleźć sposób, by wyrwać się prędzej ze szkoły. Z pomocą nieoczekiwanie przyszli harcerze. Cała drużyna zgłosiła się z rana do biblioteki. Jedni stali przy półkach, odczytując numery inwentarzowe, druga grupa wypełniała kolorowymi pisakami kratki arkuszy skontrowych, inni odkładali książki na miejsce. Nikt nam nie przeszkadzał. Pozostali członkowie komisji zajęci byli – na szczęście – dużo ważniejszymi sprawami. W międzyczasie spróbowałam kilka razy dodzwonić się do Weroniki. Na próżno. Jej komórka uparcie milczała. Mogłam zadzwonić do Marcina, ale zrezygnowałam. Nie spodziewałam się usłyszeć nic nowego. Odnosząc dziennik po ostatnich tego dnia zajęciach, modliłam się, by na mojej drodze nie wyrósł nagle dyrektor Brożyńiec, Agata lub Aleksandra Jezierska. Los był dla mnie łaskawy połowicznie. Tym razem pojawiła się Ewa, błagając, bym przypilnowała jedną chwilę dzieci na świetlicy. Zostałam. Lubiłam Ewę za jej bezpośredniość.

Ona niczego nie udawała. Mimo że owa „chwila” trwała o niebo dłużej niż miała trwać, doczekałam się w końcu jej powrotu. Szybko narzuciłam płaszcz i tym razem bez przeszkód doszłam do drzwi wyjściowych.

Byłam już solidnie spóźniona, gdy zajęłam przed dom. Spodziewałam się zastać Michała w naszej kuchni pochłaniającego swój ulubiony sernik, który mama z całą pewnością dla niego przygotowała. Poczułam lekkie ukłucie zawodu, gdy moje przecucia się nie spełniły. Sernik, owszem – był. Tuż obok zapakowane starannie kanapki. Wszystko na swoim miejscu, ale bez niego.

– Może zapomniał? – Usiadłam przy stole w płaszczu, dziwnie zdruzgotana. Dlaczego tak mnie to ubodło? Czego tak naprawdę chciałam? Na co liczyłam, bez mrugnięcia okiem godząc się z każdą propozycją Michała? Cyrograf wyraźnie mi zabraniał zawierania nowych „znajomości”. Dlaczego więc narażałam siebie i Sebastiana na złośliwą zemstę mojego „prawie” byłego męża? Nikt przecież nie wiedział, że wolna byłam jedynie z pozoru. Może właśnie dlatego, że wszystkich sił, podświadomie i nieostrożnie, chciałam poczuć smak prawdziwej wolności. Chciałam iść własną drogą, bez strachu, że ponownie zaprowadzi mnie nad przepaść. Przytłoczona myślami podniosłam się, by zrzucić z siebie wyjściowy strój. W tej samej chwili przed dom podjechał Michał. Zaparkował swojego starego golfa tuż przy płocie i z rozwianą czupryną niespokojnie spojrzał w okno. Przyjechał od strony „centrum”. Najwidoczniej jakieś niespodziewane sprawy wygnały go z leśniczówki dużo wcześniej, niż przypuszczał.

– Michał przyjechał! – Do domu wpadła zasapana mama. – Już wszystko gotowe – spojrzała na mnie z wyrzutem – ale ty chyba nie? W takim stroju chcesz iść do lasu? – Zatrzymała wzrok na moich ulubionych pantoflach na wysokim

obcasie. – W spódnicy i cienkich pończochach – wymieniała krytycznie.

– Dopiero wróciłam z pracy. Właśnie idę się przebrać – uspokoiłam ją. – Michał się spóźnił. Już myślałam, że zapomniał o tym całym spacerze.

– Trudno się dziwić – westchnęła. – Dzisiaj ma chłopak smutną rocznicę – podeszła do kalendarza. – 23 października 1972 roku, Janek Rawicz i jego matka zginęli w wypadku samochodowym. Pewnie wraca z cmentarza. Jadzia też pewnie przyjechała. Od lat zawsze spędza ten dzień przy grobie męża. To było bardzo udane małżeństwo – pociągnęła nosem. – Aż żal, że nie przetrwało.

– Pójdę do niego – wyszłam przed dom.

– Cześć, Aniu, przepraszam za spóźnienie. Nie gniewasz się? – zarzucił mnie pytaniami.

– Jak mogłeś spóźnić się całe dziesięć minut – zażartowałam. – To niepoważne, Michale Rawiczu!

– Gotowa na randkę?

– Mieliśmy spacerować, oszuście matrymonialny.

– Nie poddaję się tak łatwo. Za bardzo mi się podobasz, ślicznotko.

– Zabierasz mnie na randkę samochodową?

– To ułatwi sprawę – poklepał golfa po masce. – Mam rozkładane siedzenia...

– Pytam poważnie – zgromiłam go wzrokiem.

– Jeśli chcesz, mogę cię zabrać teraz albo przyjść po ciebie za jakieś dwadzieścia minut.

– A może chwilkę na mnie poczekasz? Przebiorę się tylko w coś wygodniejszego...

– Zaczekam. – Jak każdy facet założył z góry, że zanim zmienię buty, minie doba. Najszybciej, jak umiałam, zamieniłam spódnice na dżinsy, a bluzkę na ulubiony zielony golf. Wyplątałam włosy z ciasnego koka, który dla wygody upinałam

przed wyjściem do pracy i gotowe. Mama z uśmiechem na ustach kończyła upychać wałówkę w moim plecaku.

– Michał na pewno się ucieszy – zabrałam ciężki plecak i szybko wyszłam przed dom. Michał oparty o maskę zaciągał się papierosem. – Nie wiedziałam, że palisz.

– Sporadycznie – przyznał wyraźnie zaskoczony moim widokiem. – Myślałam, że ta chwila potrwa dłużej, ale najwidoczniej myliłam się...

Weszliśmy na leśną ścieżkę.

– Pokażę ci moje ulubione miejsce. To dosyć daleko, ale naprawdę warto się tam zaszyć. Kiedy było mi smutno, przesiadywałam tam godzinami i rozmyślałam. Już dawno tam nie zaglądałam.

– To znaczy, że nie jesteś smutna – wziął mnie za rękę, jak wtedy, gdy odprowadzał mnie do domu.

– Nie, to znaczy, że po prostu nie mam czasu, a smutków mi nie brakuje – odparłam.

– Odpędzę je wszystkie, jeśli mi pozwolisz – Michał uderzył wyraźnie w uwodzicielski ton. Postanowiłam zagrać w otwarte karty.

– Naprawdę mnie lubisz czy wciąż sobie żartujesz? – Spojrzałam mu w oczy. Nie odwrócił wzroku. Co gorsze, był zupełnie poważny.

– Naprawdę cię lubię, Aniu – powiedział ciepło. – Nie czujesz tego?

– Czuję to wyraźnie i bardzo mnie to martwi – nie zniósłam jego spojrzenia. Jeszcze chwilę i zacznę sobie coś wyobrażać. Nie mogłam dawać nadziei ani sobie, ani tym bardziej jemu.

– Aż boję się zapytać, dlaczego... – podszedł bliżej. – Jestem taki straszny? – Poczułam niepokojące łaskotanie w brzuchu. Motyle... Pierwsze objawy zapatrzenia. Boże, nie mogę wciąż od nowa powtarzać własnych błędów. Stop!

– Jesteś przeraźliwie uparty i nic nie rozumiesz... – usiłowałam zamaskować drżenie głosu i rąk. – Chcę mieć w tobie przyjaciela. Tylko przyjaciela. Nie odbieraj mi nadziei, że nim jesteś. Nie niszczy tego, co mamy. – Co ja wygaduję? Jakies potworne banały – załkałam w myślach. Michał przyglądał mi się z uwagą. Chciał coś powiedzieć, ale wycofał się.

– Dobrze, droga przyjaciółko – zaakcentował ostatni wyraz – zbliżamy się do twojej samotni czy mam poszukać leśnych korzonków, by się pokrzepić przed dalszą drogą? – Chociaż raz prowiant mamy wyszedł mi na dobre.

– Powoli się zbliżamy – wyjaśniłam obojętnie. – Musimy zejść na łąkę. Moja samotnia znajduje się w tym gąszczu, nad rzeką. O korzonki się nie martw. Mama przygotowała nam kanapki – poklepałam znacząco plecak. W oczach Michała rozbłysły światelka. Szybkim marszem przeszliśmy ostatni odcinek leśnego traktu i wyszliśmy na łąkę. Trawa trochę podeszła wodą. Nad samą rzeką ledwie widoczna ścieżka ginęła w zacienionym gąszczu. Rozchylając gałęzie i pochylając głowy, weszliśmy w szczelnie opleciony gałązkami tunel. Ziemia napęczniała jesiennym deszczem była w tym miejscu bardziej grząska. Koryto rzeki zwężało się, a na gładkich kamieniach szumiał cicho mały wodospad. Powalone wiele lat temu drzewo pokryte grubą warstwą miękkiego mchu opadało nad strumykiem łagodnym łukiem, na którym można było wygodnie usiąść. Cisza i szelest liści dookoła działały jak muzyka relaksacyjna. Można było się tutaj spokojnie ukryć, mając pewność, że nikt niepowołany tutaj nie zajrzy. Turyści najczęściej przemierzali utarte szlaki nad rzeką i prawdopodobieństwo, że zechcą przeczołgać się pod długimi gałęziami drzew, było niewielkie. Lęk przed kleszczami i insektami skutecznie powstrzymywał nawet najbardziej zapalonych odkrywców.

– Jak ci się podoba? – pokazałam z dumą moje tajne królestwo.

– Jest urocze – przyznał. – Najładniej musi być tutaj latem...

– Zgadłeś – usiadłam na pieńku. – W czasie wakacji przeżywałam tu godzinami, czytając książki i rozmyślając.

– Masz romantyczne usposobienie – usiadł obok mnie, znowu trochę zbyt blisko. – To rzadkość. – Zaszeleściłam plecakiem, by zagłuszyć głośny rytm serca. Co się ze mną dzieje, u licha? Wyciągnęłam kanapki i podałam mu jedną.

– Życie nauczyło mnie, że nie warto być romantykiem – powiedziałam w przestrzeń. – Obrywa się wtedy podwójnie.

Jedliśmy w milczeniu. Spacer zaostriżył nam apetyt i po kanapkach nie zostało już wkrótce ani okruszka.

– Jak znalazłeś to miejsce?

– Powiedział mi o nim dziadek Tadeusz. Chodź, pokażę ci coś. – Zeszliśmy ostrożnie z pnia. Przykucnęłam w pobliżu wodospadu przy spróchniałym pniu drzewa i delikatnie rozgarnęłam liście. Naszym oczom ukazała się ciemna, piaszczysta jama, która zapadała się gdzieś głębiej. Nie widać było dna. Otwór był bardzo wąski, ale można było wypełznąć do środka.

– To kryjówka partyzantów? – zapytał, nie dowierzając. Oczy rozbłysły mu ciekawością.

– Bingo, profesorze Rawicz – przytaknęłam. – Dziadek wiele razy korzystał z tej kryjówki w czasie wojny. W naszych lasach jest jeszcze wiele takich miejsc, ale to zachowało się najlepiej. Nie miałam nigdy odwagi wejść do środka. Myślałam o tym, chociaż dziadek surowo mi tego zabronił. Bał się, że może mnie tam przysypać, więc nie ryzykowałam, ale opowiadał, że z powodzeniem mogło ukryć się w niej nawet trzech rośliwych mężczyzn. Teraz na pewno czas zrobił swoje i lepiej nie kusić losu.

– Dziadek Tadeusz miał ciekawe życie. Zawsze bardzo lubiłem słuchać, jak opowiada.

– Znasz historię, jak babcia Helena przewoziła go pociągiem w drewnianej skrzyni zasypanej sianem? – Pociąg Michała do historii mógł uratować nasze relacje. Musiałam trzymać jego i siebie na dystans, a wojennych opowieści dziadka znałam bez liku.

– Nie przypominam sobie.

– Albo jak ukrywał się w stercie obornika przed stajnią? – wymieniałam.

– Tego też nie słyszałem. Opowiesz mi?

– Z przyjemnością, ale nie tutaj... Ściemnia się. Musimy wracać.

Łąkę pokonaliśmy jak poprzednio, przeskakując kawałek po kawałku. W lesie Michał ponownie wziął mnie za rękę. Nie protestowałam.

– O tych wydarzeniach opowiedziała mi babcia Helusia. Pamiętasz ją?

– Jak mógłbym zapomnieć – westchnął zapatrzony w dal.

– Jej niebiańskie wypieki do dziś spędzają mi sen z powiek.

– A ten tylko o jednym – zaśmiałam się w duchu. – Musisz wiedzieć – rozpoczęłam opowieść – że babcia Helena była nie tylko świetną gospodynią, ale także bardzo odważną kobietą. Wraz z mamą i trójką rodzeństwa przyjechała tu pewnej grudniowej nocy 1945 roku jako repatriantka ze Wschodu. W bydlęcych wagonach przyjechali w nasze strony w ramach akcji przesiedleńczej. Zastali tutaj ubogą, drewnianą chatę z klepiskiem, ale także pomoc ze strony sąsiadów. Już na drugi dzień do drzwi zapukał przystojny mężczyzna. Był wysoki, postawny, w błyszczących oficerkach. Niebieskie oczy patrzyły na Helenę bardzo przenikliwie. Przyniósł chleb, pierogi i mleko, posiłek, jakiego nie mieli w ustach już od dłuższego czasu. Tadeusz przychodził tak już niemal codziennie,

błądząc wzrokiem za piękną dziewczyną, która zawstydzona chowała się za spódnicą mamy. Jej także podobał się młody mężczyzna, który wkrótce poprosił ją o rękę. Wiwatujący na cześć młodej pary partyzanci oddali w powietrze głośne strzały mające zwiastować im długie, szczęśliwe życie. Wróżba nie od razu się spełniła. Życie od początku wspólnej drogi nie rozpieszczało młodej pary. Wojna co prawda skończyła się, ale walka nie. Tadeusz częściej przebywał w lesie niż w domu. W nowej, powojennej rzeczywistości żołnierz Armii Krajowej skazany był na prześladowania ze strony Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Nie ujawnił się, nie złożył broni i wstąpił do nowej, „zbrodniczej” organizacji WiN, w której działał pod dowództwem człowieka widma, nieuchwytnego i znienawidzonego przez Służbę Bezpieczeństwa – „Butnego”. Ubecy coraz częściej odwiedzali ich mały domek położony na krawędzi puszczy. Robili rewizje i straszili, domagając się wyjawienia miejsca pobytu Tadeusza. Helena wielokrotnie dowiodła swojego sprytu. Umiała zachować zimną krew i rozsądek w obliczu sytuacji, wydawać by się mogło, bez wyjścia. Pewnej nocy pierścień oblawy zacisnął się dużo mocniej, niż się spodziewano. Stęskniony za młodą żoną Tadeusz zakradł się do domu i został na noc. W środku nocy rozległo się łomotanie do drzwi. „Wylaż Jabłoński – wrzeszczeli – wiemy, że tam jesteś. Dom jest obstawiony. Tym razem nam nie uciekniesz!”. Helena jednym spojrzeniem oceniła sytuację. Odsunęła deski zasłaniające jedno z okien na tyłach domu, związała w tobołek ubrania męża i wyrzuciła przez okno. Nie było reakcji. Ubecy przeoczyli najwidoczniej ten odcinek lasu i niezbyt szczerlnie otoczyli cały dom. Parę metrów dalej stała stodoła, a za nią pał się koń, na którym Tadeusz przyjechał na krótkie odwiedziny do żony. Odwracając uwagę ubeków, Helena podeszła do drzwi, żeby je otworzyć, tymczasem Tadeusz w samych

tylko kałesonach przepchał się przez okno, złapał ubranie i biegiem rzucił się w kierunku pozostawionego w lesie konia. Seria z automatu ominęła go o centymetr, rozłupując doszczętnie krawędź stodoły. Zanim funkcjonariusze zdołali dobiec do tego miejsca, Tadeusz, z biegu wskakując na konia, umknął do lasu. Wściekli odgrążali się, że następnym razem go zabiją, ale Helenę zostawili w spokoju. Wydawało się, że spokojne życie nie było im pisane. Helena była w ciąży i Tadeusz postanowił, że wyjadą na jakiś czas na drugi kraniec Polski. Postanović – jedno, a wyjechać – drugie. Koledzy partyzanci nie opuścili jednak Tadeusza w potrzebie. Helena z podręczną torebką, bez żadnych podróŜnych pakunków, wsiadła do pociągu jadącego na zachód. W jednym z bydlęcych wagonów, w skrzyni z małymi otworami na powietrze, siedział Tadeusz, przysłonięty stertą słomy i siana, którą załadowali na niego współpracujący z „Butnym” kolejarze. Helena i Tadeusz bezpiecznie dotarli do wsi pod Bydgoszczą, gdzie osiedlili się i zostali parę lat. Po powrocie zamieszkali w domu, który doskonale znasz – zakończyłam opowieść, gdy dotarliśmy na miejsce.

– To była prawdziwa lekcja historii. Mało kogo obchodzi tak naprawdę losy ich dziadków, ty jesteś wyjątkiem... – Michał patrzył na mnie z nieukrywanym podziwem.

– A jak było z tobą? Historia to przypadek czy świadomy wybór?

– Uwielbiałem moją nauczycielkę od historii. Siedziałem na zajęciach jak zaczarowany, gdy opowiadała. To nie były nigdy suche fakty, tylko piękna opowieść o przeszłości. Była moim wzorem. Właściwie jest nim do dzisiaj.

– Może kiedyś jakiś uczeń lub uczennica – mrugnęłam okiem – postanowi naśladować ciebie...

– Marne szanse – zaśmiał się. – Moich uczniów niewiele już interesuje, a najmniej to, co było, a nie jest...

Michał znów znalazł się niebezpiecznie blisko mnie.

– Widzę, że na mnie już pora – uwolniłam się z jego dłoni.

– Dziękuję za miły spacer. Potrzebowałam tego.

– Chwileczkę, Anno Jabłońska, a nagroda?

– Niby za co? Bo jaka, to się domyślam.

– Przegoniłaś mnie ładnych parę kilometrów i nie podarujesz mi nawet przyjacielskiego całusa na pożegnanie?

– Przyjacielskiego chyba mogę – musnęłam ustami jego szorstki policzek.

– Lepszy rydz niż nic – westchnął. – Spotkasz się jeszcze ze mną?

– Mam dużo pracy, ale jak znajdę chwilkę, odwiedzę cię – obiecałam. Pomachałam mu i zamknęłam za sobą drzwi. Motyle fruwały w moim brzuchu, nie zwracając uwagi na jesienną porę. Czułam, że jestem o krok od kolejnego głupstwa. Michał Rawicz zakradał się coraz skuteczniej do mojego serca, które – głupie – planowało wyrwać się z mojej piersi wbrew rozsądkowi.

Rozdział 21

– I po co tatusiowi tyle tych gałęzi! – głośno zrzędziła mama, gdy po pracy całkowicie utyrana przekroczyłam progi rodzinnego domu. Dziadek, nie zwracając uwagi na dąsy synowej, zasiadał na ulubionym stołeczku na środku kuchni. Na podłodze wokół jego nóg leżały sterty pachnącej lasem jedliny, bibułkowe kwiaty i pręty wygiętej w krzywe koło leszczyny. Z tradycyjnego wicia wianków na Wszystkich Świętych dziadek Tadeusz nie zrezygnowałby nawet pod szafo-tem. Podobnie zresztą jak dziadek Piotr. Obaj, pod koniec października, jakby obudzeni ze snu, wędrowali po materiał

na wieńce, a potem wili, wili i wili, bez umiaru, produkując w domowej manufakturze wieńce małe, średnie i całkiem duże, których wystarczało na groby bliskich, ale także dalekich czy zupełnie obcych zmarłych. Dziadek roznosił je potem po leśnych traktach, ozdabiał stojące w puszczy krzyże i kamienne tablice z wyrytymi na nich datami wojennego czasu. Jako mała dziewczynka towarzyszyłam mu zawsze w tych wyprawach. Celebrował ten czas nadzwyczaj starannie, i byłam pewna, że nie zrezygnuje z tego do końca życia.

– Widzę, dziadku, że ostro szykujesz się do świąt – zauważyłam, przygotowana na to, co zobaczę. Gdyby nie to, że dyrektor postanowił rękami harcerzy, a w efekcie także moimi, wskrzesić niepraktykowane od dawna ręczne wyplatanie wieńców, ucieszyłabym się na widok warsztatu dziadka. Niestety, zakończone w dzikim tempie skontrum zastąpiła nowa wizja dyrektorskiej tradycji, pozostawiając na moich dłoniach rany kłute, cięte i szarpane, od igieł, drutu i leszczynowych drzazg.

– A jakże – sapnął z dumą dziadek, nie dostrzegając niczego, prócz zajęcia, któremu oddawał się od lat z nieślab-ącym zapałem. – A Stefcia jak zwykle marudzi – dodał z wyrzutem.

– Cudnie pachnie – zmieniłam temat. – Przebiore się i trochę ci pomogę – zdecydowałam bohatersko.

– Nie trzeba. Dam sobie radę – zawzięcie upychał gałązki na drążku. – Jedź lepiej do Michała. Zapytaj, czy wianków mu uwić.

– Wieczorem mam zbiórkę na cmentarzu. Idę z harce-razami porządkować groby, ale... – zastanowiłam się – spacer dobrze mi robi.

– Weź rower – podsunęła mama. – Maciek porządki dzisiaj w komórce robił i w końcu oponę przebitą wymienił. Prosiłam go całe lato, ale czasu nie miał.